WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr 57 | 13 MAJA 1975 R. | CENA 1,50 ZŁ

A ZAMEK NAM PIĘKNIEJE

Nad wiślaną skarpą znów wznoszą się mury odbudowanego Zamku Królewskiego od stuleci nierozerwalnie związanego z panoramą Warszawy. Ale mury te, to dopiero pierwszy etap odbudowy – wprawdzie bardzo ważny, ale nie tak żmudny i pracochłonny jak rekonstruowanie jego zabytkowego wystroju.

Kto to robi i jak — ilustruje nasz fotoreportaż na str. 4.

Zdjęcie: **M. Szymański**

Cementownia — gigant

W Choruli koło Opola powstaje cementownia „Górażdża" – jedna z największych w kraju. Obecnie na placu budowy wykonuje się roboty fundamentowe oraz montaż konstrukcji i urządzeń (na zdjęciu). Prace prowadzi ponad 1700 pracowników z 20 firm. Wkrótce rozpocznie się montaż pieców obrotowych. W nowej, całkowicie zautomatyzowanej cementowni procesami technologicznymi kierować ma komputer. Będzie to pierwszy tego typu zakład w krajach RWPG. W sumie zatrudni on 1200 osób. Planuje się, że pierwsze worki cementu opuszczą „Górażdże" na początku 1976 roku.

Zdjęcie: **CAF – Okoński**

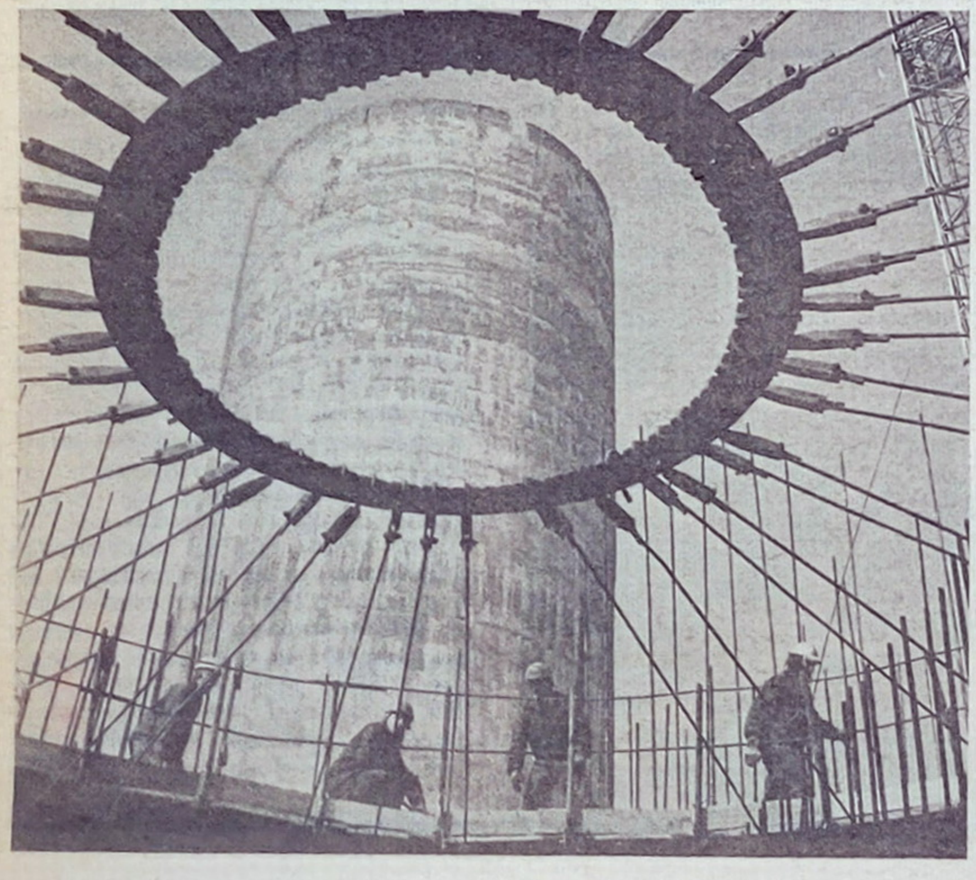

POZNAŃ (HSI). W Poznaniu powstał niedawno z inicjatywy Komendy Chorągwi Wielkopolskiej ZHP zespół artystyczny „Harcerskie rozpoczynki". Jego członkowie dziewczęta i chłopcy noszą niebieskie chusty z naszytym emblematem uśmiechniętej buzi. Za każdy rok pracy przybywać będzie jeszcze jeden taki uśmiechnięty buziak.

„HARCERSKIE ROZPOCZYNKI"

Jak dotąd, w skład zespołu wchodzą trzy drużyny (dwie zuchowe i jedna harcerska), ale powstanie czwartej jest sprawą najbliższych dni. Zamiarem organizatorów jest stworzenie zespołu całkowicie samowystarczalnego, który by tańczył, śpiewał i bawił opierając się na własnych utworach, pomysłach choreograficznych i zapleczu technicznym. Mile widziani są w związku z tym różnego rodzaju majsterkowicze i technicy, którzy mogliby się zająć „produkcją" potrzebnych rekwizytów. Poszukiwani są również młodzi twórcy, pragnący wypróbować swych sił w pisaniu tekstów i muzyki.

(hr)

AZYMUT WĘGIEL

UWAGA, DRUŻYNY I SZCZEPY UCZESTNICZĄCE W KONKURSIE!

JESZCZE TYLKO DWA DNI

Za dwa dni, **15 maja, mija termin nadsyłania końcowych meldunków** o realizacji zadań konkursu „AZYMUT – WĘGIEL"!

Przypominamy, że meldunek końcowy musi zawierać informację o tym, co w czasie trwania konkursu zrobiliście – które zadania, w jaki sposób, jakie ewentualnie zadania dodatkowe wymyślone przez Was samych. Meldunek końcowy musi być potwierdzony przez dyrektora szkoły oraz przez Komendę Hufca.

Jeszcze tylko dwa dni!

PRZEGLĄD HARCERSKIEJ TWÓRCZOŚCI

SWINOUJŚCIE (HSI). Już po raz czwarty Komenda Hufca ZHP w Świnoujściu zorganizowała przegląd artystycznej twórczości drużyn i szczepów. Celem przeglądu jest popularyzacja wartościowych piosenek harcerskich oraz ciekawych programów słowno-muzycznych zastępujących drętwe zazwyczaj akademie okolicznościowe. Tegoroczna impreza, przeznaczona dla uczniów szkół podstawowych i średnich, związana była tematycznie z 30 rocznicą zwycięstwa nad hitlerowskim faszyzmem, 30-leciem powstania Marynarki Wojennej i Wojsk Ochrony Pogranicza. (ws)

NOWA TRASA WĘGLOWA Z POLSKI DO PORTUGALII

SZCZECIN (PAP). Statek Polskiej Żeglugi Morskiej „Kopalnia Moszczenica" zainaugurował stałe rejsy do Portugalii. W pierwszej podróży statek ten dostarczył do Portugalii 11 tysięcy ton węgla.

(bis)

Dziś przedstawiamy:

Półwysep SYNAJ

Jest on pomostem między Afryką i Azją. Północna część Półwyspu Synajskiego już w starożytności stanowiła ważny szlak komunikacyjny (zresztą jedyny lądowy) między tymi kontynentami. Półwysep (pow. 59 tys. km kw.) posiada więc duże znaczenie strategiczne ale również i gospodarcze. Obecnie przez Synaj biegną cztery drogi. Jedna z nich, północna, wiedzie z El Arisz do Gazy. Druga z Ismaili do Bir Gifagafa przebiega przez kamienisty płaskowyż. Na obydwu tych drogach rozegrały się w latach 1956 i 1967 wielkie bitwy pancerne między siłami egipskimi a napastnikami izraelskimi.

Roślinność jest tu bardzo uboga, pustynna. W nielicznych oazach uprawie się jęczmień, proso, kukurydzę. Ale nie to stanowi o bogactwie półwyspu. W Abu Rodec i nad Zatoką Sueską znajdują się bogate złoża ropy naftowej – od 1956 r. eksploatowane przez Izrael, który okupuje Synaj. O bogactwie tych złóż niech świadczy fakt, że pokrywają one aż w 80 proc. zapotrzebowanie Izraela na ten surowiec. Okupanci stosują jednak rabunkową gospodarkę, tak że złoża te wyczerpią się w ciągu 5–8 lat.

Oprócz ropy na Synaju znajdują się złoża fosfatów, boksytów, ołowiu, cynku, miedzi i rud żelaza, a w pobliżu El Arisz – węgla, szacowane na 50 mln ton. Najważniejszym jednak skarbem Półwyspu są podziemne zbiorniki słodkawej wody o objętości ok. 200 mld m sześc. Tak wielkie zasoby wody mogą wystarczyć dla zasiedlenia pustynnych obszarów przez milion ludzi.

Oto są główne powody, dla których Izrael okupuje Synaj i nie chce oddać zagarniętych Egiptowi ziem. Po ostatniej wojnie w 1973 r. Egipcjanie wymusili na Izraelu oddanie wąskiego pasa wzdłuż wschodniego brzegu Kanału Sueskiego. (Umożliwi to uruchomienie już wkrótce tego ważnego szlaku morskiego). Jest to pierwszy etap rozwiązania konfliktu. W następnym, Izarel powinien oddać wszystkie arabskie terytoria. Niestety realizacja tego drugiego etapu napotyka ciągle na poważne przeszkody stawiane przez okupanta.

(b)

POGOŃ ZA PAPIEREM

Papier od najdawniejszych czasów przyczynia się do rozwoju cywilizacji. Dzięki niemu ludzie mogą przekazywać z pokolenia na pokolenie swą wiedzę i doświadczenia, porozumiewać się w czasie i przestrzeni. Kiedyś, głównym źródłem informacji były listy – wytworzyła się nawet specjalna dziedzina zwana epistolografią, czyli nauka o pisaniu listów. Dzisiaj rolę ich przejęły książki i gazety, a także najróżniejsze biuletyny. Rozwój nakładów książek i gazet stał się obecnie jednym z głównych czynników świadczących o rozwoju kultury danego narodu. Jednocześnie papier staje się coraz droższy, coraz trudniej go dostać.

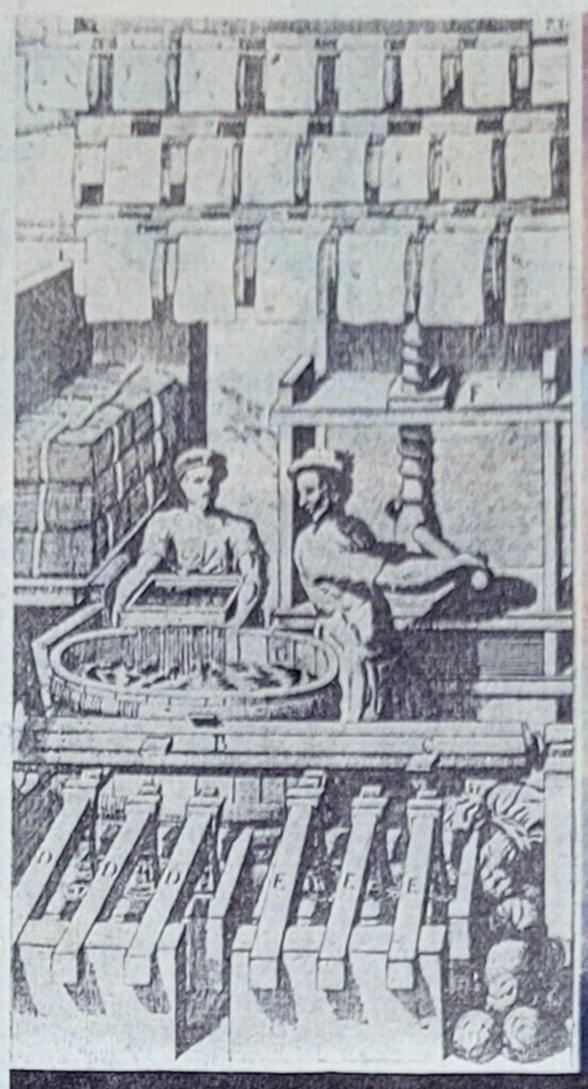

Nie można w nieskończoność zwiększać produkcji papieru, bo oznacza to wycinanie coraz większej liczby drzew. A las rośnie przecież bardzo wolno. Na rysunku widzicie papiernię z XVII wieku.

Łyk historii

W drugim wieku naszej ery papier został wynaleziony przez Chińczyka o nazwisku Caj Lun. W sześć wieków potem tajemnica wyrabiania papieru przedostała się do Arabów, którzy założyli pierwszą papiernię w Samarkandzie. Do Europy produkcja papieru dostaje się w XII wieku przez Półwysep Iberyjski, który był wtedy pod panowaniem arabskim. Wkrótce rozprzestrzeniła się w całej Europie. W Polsce pierwsza wytwórnia papieru powstaje w 1473 roku w Gdańsku, a w XVI wieku znajduje się ich już około 40. Papier w tym czasie wyrabiany był ręcznie, a masę papierową przygotowywało się w urządzeniach młyńskich napędzanych wodą. Stąd wytwórnie papierów zwały się młynami papierniczymi.

W owym czasie papier był bardzo drogi i mało kto mógł pozwolić sobie na jego kupno. Np. wybitny poeta włoski z okresu wczesnego renesansu, Petrarka, spisywał swe myśli na skórzanych ubraniach, gdyż na papier nie było go stać.

Pod koniec XVIII wieku, w 1799 roku Francuz Nicolas Louis Robert wynalazł maszynę do produkcji papieru, tzw. papiernicę, która proces ręcznego czerpania papieru zastąpiła procesem przemysłowym.

Obecnie nowoczesne papiernice pracują z wydajnością do 100 tys. ton papieru rocznie. W 1974 r. wytworzono tego surowca aż 135 mln ton.

Niespodziewany kryzys

Za kryzysem energetycznym przyszedł niespodziewanie brak papieru. W sierpniu ubiegłego roku jego cena wzrosła nagle o 30 proc. Jak do tego doszło?

Zapotrzebowanie na papier rosło rocznie zaledwie od 4 do 6 proc. Przemysł papierniczy przeto słabo się rozwijał, a jego producenci prześcigali się ze swymi ofertami, często sprzedając swój wyrób bez zysku. Mało więc kto inwestował w ten przemysł. Wynikało to także i z tego, że dochód dają jedynie urządzenia produkujące ponad 100 ton papieru na dobę, a są one bardzo kosztowne.

I nagle wszystko się zmieniło... Na początku 1973 r. Amerykanie byli już zmuszeni szukać papieru poza granicą, kusząc bardzo wysokimi cenami zwłaszcza Skandynawów, największych eksporterów papieru. Oczywiście trudno było z dnia na dzień zwiększyć produkcję. Skandynawowie zatem zmniejszając dostawy na rynek europejski, przerzucili się ze swym eksportem do USA. Wzrósł więc momentalnie popyt na papier zwłaszcza w krajach EWG, które sprowadzają ok. 3 mln ton rocznie. Na rynku papierniczym wytworzyła się więc taka sytuacja, że zdobycie większej ilości papieru w krótkim czasie stało się niemożliwe, a ceny na czarnym rynku są 4-krotnie większe od cen oficjalnych i dochodzą do 840 dol. za tonę. Okazało się, że producentom papieru opłaca się zrywać przed czasem kontrakty i płacić kary umowne, sprzedając jednocześnie ten sam papier po wysokich cenach.

Kryzys papierowy pogłębiany jest coraz bardziej przez brak surowca, jakim jest drewno, a także przez szybko rosnące koszty energetyczne.

Rezerwy drewna znajdują się jeszcze w części azjatyckiej ZSRR, a także w dorzeczu Amazonki w Brazylii, w Afryce Środkowej, w Malezji i Indochinach. Jednakże w tropikach odbywa się rabunkowa gospodarka drewnem, prowadzona zwłaszcza przez firmy amerykańskie i japońskie. A lasy tropikalne są bardzo czułe na wszelkie ingerencje czynników zewnętrznych, gdyż stanowią zamknięty obwód ekologiczny, i naruszenie jego równowagi może mieć wręcz katastrofalne skutki dla całej naszej planety. Mają bowiem lasy tropikalne olbrzymi wpływ na zmiany klimatu na Ziemi i na przepływ mas powietrza. Są też siedliskiem połowy przedstawicieli flory i fauny świata.

Sytuacja w Polsce

Trudna sytuacja na rynku papierniczym dotknęła także i nasz kraj, jako, że nie jesteśmy w tym względzie samowystarczalni i prawie jedną piątą część zużywanego papieru musimy importować. Głównymi ośrodkami produkcji papieru są m. in.: Włocławek, Ostrołęka, Jeziorna i Kalety. W 1973 roku wyprodukowano w Polsce 937 tys. ton papieru. Jednakże nasze potrzeby są już obecnie o wiele większe i rosną bardzo szybko z roku na rok.

Stały się więc konieczne pewne posunięcia administracyjne prowadzące do zmniejszenia zużycia tego materiału. Decyzją rządu wszystkie dzienniki w Polsce wychodzą obecnie sześć razy w tygodniu. Coraz więcej pism urzędowych jest przesyłana bez kopert. Jednakże w dalszym ciągu na wszelkiego rodzaju druki zużywamy bardzo dużo papieru. I tak np.: w zeszłym roku zużyto nań aż 333 tys. ton, tj. tyle, ile przed czterema laty zużyto go na produkcję książek.

Rozumna i właściwa gospodarka papierem jest konieczna. A zwłaszcza niebagatelny staje się problem zbiórki makulatury, gdyż co trzeci kilogram papieru jest właśnie z niej produkowany. Oczywiście wskaźnik ten można zwiększyć, ale to zależy już tylko od nas samych.

OSKAR BRAMSKI

Razem bezpieczniej

Za Łabą nie myślano wtedy, o uznaniu naszych zachodnich granic, wręcz przeciwnie powojenny kształt Europy był dla ówczesnego rządu zachodnioniemieckiego „stanem tymczasowym". Stany Zjednoczone, W. Brytania i inne państwa zjednoczone w „Pakcie Północno-Atlantyckim", nie były przeciwne takiemu stanowisku. Bundeswehra stawała się silną, nowoczesną armią kierowaną przez byłych oficerów hitlerowskiego Wermachtu. W 1955 roku Niemiecka Republika Federalna, została przyjęta do NATO. Marzące o rewanżu militarne koła zachodnioniemieckie, zbliżyły się w ten sposób do „atomowego guzika". Był już w zasięgu ręki, tyle, że strzeżony przez amerykańskiego wartownika. Ale były to lata zimnej wojny, kiedy to Zachód bliższy był idei konfrontacji militarnej niż pokojowego współistnienia i nie było wiadomo co zrobi za chwilę ten wartownik US-ARMY.

W tej sytuacji europejskie państwa socjalistyczne powiązane dotychczas jedynie dwustronnymi układami o przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy uznały, że jest to już niewystarczająca forma mogąca zabezpieczyć przed ewentualną agresją. Potrzebny był układ, który zjednoczyłby wysiłki i możliwości wszystkich państw wspólnoty dla stworzenia systemu pełnej obronności naszych krajów. Kierując się takimi właśnie przesłankami zwołano w Warszawie w dniach 11–14 maja 1955 roku spotkanie europejskich państw socjalistycznych. Wtedy to właśnie – 20 lat temu przedstawiciele ośmiu państw uchwalili i podpisali „UKŁAD O PRZYJAŹNI, WSPÓŁPRACY I POMOCY WZAJEMNEJ", który przeszedł do historii pn. „UKŁADU WARSZAWSKIEGO".

W odróżnieniu od Paktu Północno-Atlantyckiego, Układ Warszawski jest paktem o charakterze obronnym. Już w artykule 1 stwierdza się, że strony — członkowie układu zobowiązują się powstrzymywać w swych stosunkach międzynarodowych od groźby użycia siły. Stwierdzenie to a także charakter całego układu, są potwierdzeniem marksistowskiej tezy o ścisłej więzi polityki i wojny. A wspólnota socjalistyczna, zawsze głosiła zasadę pokojowego współistnienia. Dlatego też stwierdza się wyraźnie w układzie, że utraci on swą moc w przypadku utworzenia w Europie systemu bezpieczeństwa i zawarcia w tym celu odpowiedniego układu.

Mówiąc krótko: układ ten spełnia rolę gwaranta bezpieczeństwa zbiorowego i jest instrumentem zbiorowej samoobrony. Ale zbiorowość ta absolutnie nie przekreśla narodowego charakteru sił zbrojnych wydzielonych przez państwa członkowskie do dyspozycji Zjednoczonego Dowództwa.

Dlaczego Układ Warszawski jest tak ważny dla państw socjalistycznych? W obecnych czasach ogromnego postępu w dziedzinie zbrojenia żadne małe czy średnie państwo nie jest już w stanie bronić się samodzielnie, zarówno ze względu na obszar jaki zajmuje jak i na niemożność samodzielnego, wszechstronnego rozwijania swych sił militarnych.

Dzięki połączeniu sił, państwa Układu Warszawskiego znacznie wzmocniły swą pozycję polityczną i wojskową. Dziś każdy już wie, że agresja na jeden kraj wspólnoty socjalistycznej, oznacza w konsekwencji wojnę globalną. Po raz pierwszy w swej historii Polska ma tak potężne sojusze wojskowe i dzięki właśnie temu zabezpieczeniu możemy intensywniej rozbudowywać nasz kraj i patrzyć spokojnie w przyszłość. Że razem bezpieczniej niż w pojedynkę wie każdy, ale też nie każdy potrafi wyciągnąć z tego praktyczne wnioski. My takie właśnie wnioski wyciągnęliśmy już w roku 1945, zawierając z ZSRR układ o przyjaźni. Układ Warszawski jest dalszą kontynuacją, rozpoczętego w owym czasie praktycznego działania. (jk)

STAROŻYTNOŚĆ W BIESZCZADACH

O TYM JAK SIĘ „SOKOŁY" I „ORLĘTA" W... GREKÓW I PERSÓW PRZEMIENIŁY

HISTORIA na zbiorkach harcerskich?! Brrr! – otrząsną się niektórzy. – Czy nie wystarczą lekcje?! Okazuje się jednak, że ważne wydarzenia historyczne mogą być tematem niejednej zbiórki. I to nie w formie nudnej prelekcji czy referatu, ale właśnie dobrej zabawy.

„Sokoły" i „Orlęta" należą do 47 Bieszczadzkiej Drużyny Harcerskiej przy Zbiorczej Szkole Gminnej w Tyrawie Wołoskiej.

PEWNEGO RAZU ODKRYTO SKARB

Kiedy Tyrawa Wołoska przystąpiła do krajowego konkursu o tytuł „Mistrza gospodarności", to oczywiście i cała 47 BDH zabrała się do generalnych porządków. „Sokoły" i „Orlęta" otrzymały zadanie – szkolny ogródek ma być wizytówką szkoły. Opracowali cały plan ogródka, wyznaczyli alejki i klomby. Z rysunku (bo był i rysunek – wizja przyszłości) wynikało, że będzie to najpiękniejszy ogródek w okolicy. No, ale najpierw trzeba było po prostu kopać. Krzyśkowi dostał się skrawek, który w przyszłości miał być klombem. Nagle o łopatę coś zazgrzytało.

– Obrzydliwe kamienie! Człowiek nie może spokojnie pracować! – zirytował się.

Okazało się, że to wcale nie był kamień. Kiedy Krzysiek lepiej się przyjrzał „wykopalisku" dosłownie go... zatkało – to był najprawdziwszy karabin.

– Skarb znalazłem! Hurrra!

Teraz już wszystkie „Sokoły" i „Orlęta" kopały ze zdwojoną energią. Każdemu marzyło się znalezienie podobnego skarbu. Każde zgrzytnięcie łopaty dostarczało nie lada emocji. Nic więc dziwnego, że kiedy Teresa zaczęła krzyczeć: „Znalazłam skarb! I ja!" – wszyscy przybiegli jej pomóc. Miny im zrzedły, kiedy „skarb" okazał się zwykłym starym garnkiem i w dodatku dziurawym.

PÓŹNIEJ POWSTAŁO MUZEUM

Karabin znaleziony przez Krzyśka stał się początkiem akcji poszukiwania skarbów. Już nie tylko z „wykopalisk". Po penetracji domów, strychów i podwórek okazało się, że nie wiedzieli tego dotychczas, ale każdy z nich na co dzień obcuje z bardzo starymi rzeczami – u Maćka kury piły wodę ze starego hełmu; pasek, którym od czasu do czasu obrywał Staszek pamiętał czasy pierwszej wojny światowej... Któregoś dnia Basia wpadła do szkoły jak bomba.

– Chodźcie, zobaczcie co znalazłam!

Oczywiście pobiegli. W starej, rozsypującej się bacówce była wbita w ścianę stara kosa. To musiała być kosa kościuszkowska! Niestety, siedziała w ścianie tak mocno, że trudno ją było wyciągnąć. A kiedy na zgodne: raz, dwa, trzy – wziął się za nią cały zastęp, po bacówce została tylko sterta zmurszałego drzewa. Za to kosa stała się eksponatem numer jeden małego muzeum „Sokołów" i „Orląt".

A JESZCZE PÓŹNIEJ ODBYŁA SIĘ BITWA

Jola i Basia – zastępowe „Orląt" i „Sokołów" pełnią swoje funkcje od niedawna, więc nic dziwnego, że każdą zbiórkę ogromnie przeżywają. W obu zastępach są dziewczęta i chłopcy, więc zdarza się że co podoba się dziewczętom, nudzi chłopców. I odwrotnie. Trzeba więc trochę „pogłówkować", aby jak mówi znane przysłowie „i wilk był syty i owca cała".

Odkryte historyczne skarby podsunęły im myśl – urządzimy zbiórkę historyczną! Ponieważ zaś wszyscy są w piątej klasie więc na pierwszy ogień poszła starożytność – bitwa pod Maratonem i Termopilami. Narysowały taką mapę na „niby". Maraton – stara topola na pogórku, Termopile – stara bacówka, no i oczywiście Ateny (tak aby można było urządzić bieg maratoński) – szkoła. Bitwy miały się odbywać raz pod Maratonem, raz pod Termopilami, aby nikt nie był pokrzywdzony i zwycięstwo odnosili raz Grecy, raz Persowie.

W czwartek po południu odbyła się pierwsza bitwa pod Maratonem. Cóż to była za walka! Wódz Greków Miltiades czyli po prostu Krzysiek Otorowski wygłosił płomienne przemówienie: „Żołnierze, bądźcie dzielni! Cała Grecja na was patrzy!". I wojownicy walczyli dzielnie. Tak dzielnie, że... niektórzy Persowie uciekali z krzykiem: „Ja się już nie bawię, bo ona drapie i gryzie!".

Oczywiście wieść o zwycięstwie, tak jak to było w starożytności, musiała dotrzeć do Aten przez specjalnego gońca. Nie przebiegł on co prawda 42 km a tylko pół, ale za to jak krzyczał. A że do końca chciał pozostać wspaniałym Grekiem, więc wpadł do Aten z greckim okrzykiem: „Eureka!".

– Co, co odkryłeś?! – Pytały zdenerwowane ateńki, Krysia i Jadzia, które nie brały udziału w walce.

– Eee, nic, ja tylko chciałem powiedzieć coś po grecku – speszył się maratończyk, Maciek.

★

W tej chwili żadnego z pięcioklasistów w Tyrawie nie straszą już lekcje historii. Wręcz przeciwnie, ulubiony to przedmiot, oczekiwany zawsze z niekłamaną niecierpliwością. No bo i „Grecy" i „Persowie" chcą wiedzieć, jak się dalej potoczą ich losy i co będzie się działo na kolejnych zbiórkach.

ELŻBIETA JEDLIŃSKA

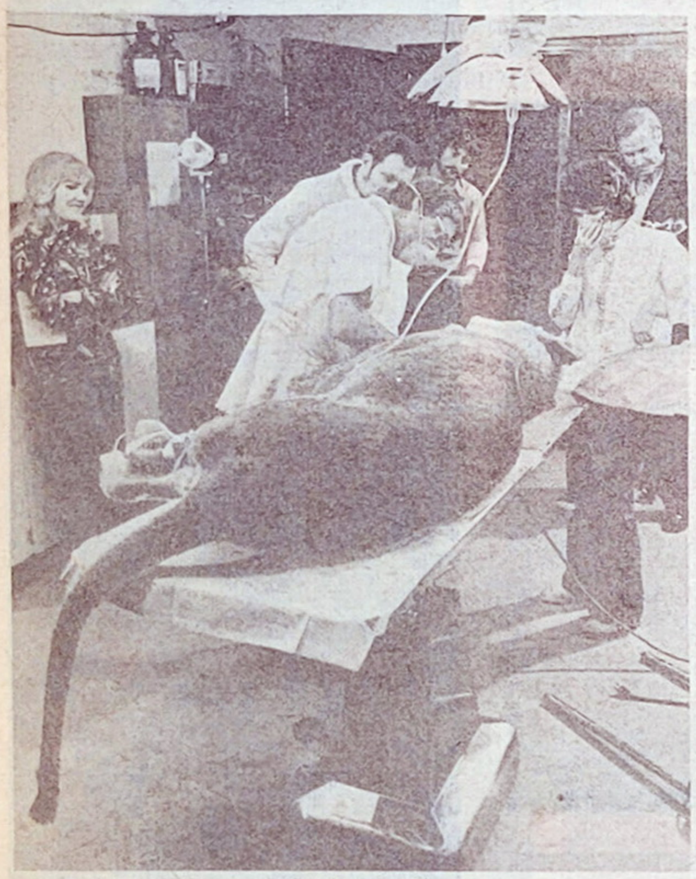

LWICA U DENTYSTY

Amerykański lekarz-dentysta z Alabamy, Edward Strother, miał ostatnio niecodziennego pacjenta. Była to ok. 100-kilogramowa lwica — Kimba. Zwierzę zostało oczywiście uśpione, a następnie dokonano mu skrocenia kłów.

Lwica, która jest mieszkanką rezerwatu robiła bowiem wiele szkód w samochodach turystów, dobierając się do opon, by z lubością „żuć" gumę.

Zdjęcia CAF-UPI

ŚPIEWAJĄCA SZEŚĆDZIESIĄTKA

„Gdzie słyszysz śpiew –
tam radość,
tam dobre serca mają".

TAKIMI SŁOWAMI rozpoczyna się Kronika Chóru Szkoły Podstawowej Nr 2 w Lądku-Zdroju. Zrzesza on uczniów od klasy II do VIII i obecnie liczy 60 osób. Nasz chór został założony w 1968 roku przez nauczyciela wychowania muzycznego p. Lesława Błażeja. Pierwszym ważnym wydarzeniem dla nas był udział w powiatowych eliminacjach szkolnych zespołów artystycznych w 1969 r., kiedy to debiutowaliśmy. Zdobyliśmy wówczas I miejsce i prawo reprezentowania powiatu na Okręgowym Przeglądzie Szkolnych Zespołów Artystycznych. Od tej pory utrzymujemy prymat w powiecie. Wyjeżdżamy również na konkursy wojewódzkie. Jeździmy na przedstawienia do opery, uczęszczamy na koncerty, które odbywają się w naszym mieście. Opiekujemy się wykonawcami przyjeżdżającymi do Lądka-Zdroju na Festiwal Muzyki Rosyjskiej i Radzieckiej. Mamy też 8-osobowy zespół wokalny, który także może się poszczycić sukcesami. Nauczyciel typuje solistów i opracowuje z nimi pieśni na konkursy piosenki np. na Ogólnopolski Konkurs Piosenki Radzieckiej. Zajęcia w chórze odbywają się dwa razy w tygodniu. Mamy regulamin, którego każdy musi przestrzegać. Całością zespołu kieruje 7-osobowy, wybrany przez nas samorząd. Stanowimy jedną wielką rodzinę.

Krystyna Sienkiewicz
i Beata Kaszyńska

A ZAMEK NAM PIĘKNIEJE

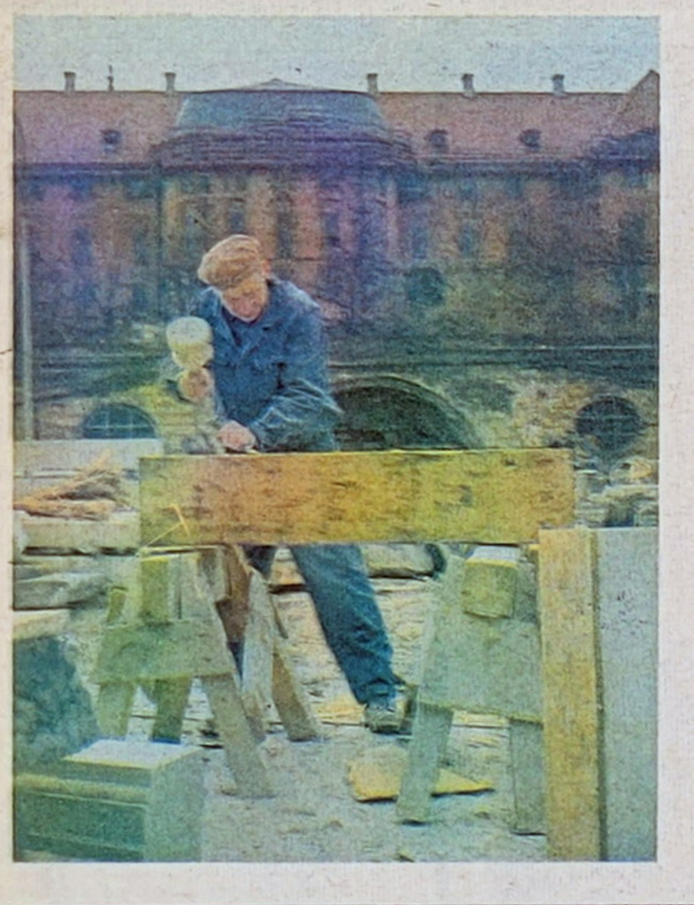

(ciąg dalszy ze str. 1)

W pracowni rzeźbiarskiej prowadzonej przez Teresę Rostworowską rekonstruuje się posągi, które jak niegdyś staną się ozdobą zewnętrznej elewacji Zamku. Surowcem jest piaskowiec, a wysokość każdego z nich sięga ok. 3 metrów. Inna pracownia zajmuje się konserwacją dzieł sztuki. Kierownictwo artystyczne sprawuje nad nią Marian Żołądek. Prawdziwe pole do popisu mają tu modelarze, snycerze, sztukatorzy i złotnicy, rzemieślnicy o najwyższych kwalifikacjach.

To właśnie dzięki nim powstają drobne fragmenty architektoniczno-dekoracyjne, potem całe kominki, gzymsy, kolumny i wreszcie gotowe sale i komnaty. Z pracowniami artystycznymi współpracuje ściśle zespół dokumentacji konserwatorskiej pod kierownictwem Ewy Krakowskiej, który zajmuje się sporządzaniem rysunków, planów i form na podstawie zachowanych części detali i dawnych fotografii. Dzięki tej dokumentacji poszczególne pracownie dorabiają najpierw ubytki, a potem montują całe zespoły.

Dużo jeszcze czasu upłynie zanim wszystko będzie gotowe i powróci do dawnego blasku, zanim znów będziemy mogli zwiedzać całkowicie odbudowany Zamek Królewski. Na razie więc przyjrzyjmy się zdjęciom. Ilustrują one niektóre z opisanych powyżej czynności.

Tekst i zdjęcia:
MAREK SZYMAŃSKI

REPORTER ŚWIATA MŁODYCH

DZIEŃ, JAK CO DZIEŃ

SYRENA fabryczna obwieściła godzinę siódmą. Na dworze bardzo ładnie. Choć to dopiero pierwsza dekada marca, śniegu ani na lekarstwo.

Wychodzę z domu. „Polski, matma, historia" – myślę i zastanawiam się, które przedmioty mogłyby mi ewentualnie zagrażać.

– A wie pan, ja bym dzisiaj chętnie poszedł do kina. Podobno „Podwodna Odyseja" to świetny film. Ale wiadomo to, jak mi się robota ułoży?

Po głosie oczywiście poznałam doktora Witka. Pędzi jak zwykle do szpitala ze swoim asystentem i nawet nie odpowiada na moje „dzień dobry".

Doktor Witek nieraz opowiadał, że często do późnego wieczora musi siedzieć w szpitalu i ratować chorych. Mało ma czasu dla siebie i założę się, że w kinie bywa o wiele rzadziej niż ja.

Szkolny korytarz przepełniony jest hałasem i gwarem. W szatni jak zwykle tłok. Wszyscy pchają się i wrzeszczą przy tym niemiłosiernie. Ogłuchnąć można!

Chłopcy znowu przynieśli jakiś model auta i będą się nim bawić przez całe przerwy. Zupełnie jak dzieci!

Dziewczęta obdarzają się najnowszymi ploteczkami, rozprawiają o tym co jest teraz modne.

Lekcje mijają „bezboleśnie". Mało dwój, piątek też nie za wiele, ale da się wytrzymać.

Po lekcjach zbiórka Rady Drużyny. Osobiście bardzo lubię harcerstwo, no i nasza drużyna jest „super". Najpierw sprawozdanie o tym, jak przebiega Turniej Wiedzy Obywatelskiej, a potem pada nieśmiała propozycja: „A może byśmy tak honorowo pożegnali zimę?". Pomysł zostaje przyjęty ogólną aprobatą. Wszystkim się spodobał. Zrobimy Marzannę i utopimy ją według starego zwyczaju. Na pewno będzie bardzo fajnie i śmiesznie.

Zmęczona wracam do domu. „Przydałoby się pójść do kina" – myślę zupełnie jak doktor Witek, ale na razie moją uwagę przykuwa dwóch staruszków. Idą przede mną i gestykulując rękami, głośno rozmawiają:

– Bo ja w czasie wojny przeszedłem więcej niż pan. Siedem lat siedziałem w niewoli – mówi pierwszy.

– Panie! Ja półtora roku leżałem w niemieckim szpitalu i z dnia na dzień nie wiedziałem czy będę żył – próbuje przekonać drugi.

No, tak. Oni mogą cały dzień rozmawiać na temat wojny i w końcu nikt się nie przekona, który z nich przeżył więcej. Często starsi mówią do młodzieży: „A wy nie zabierajcie głosu. Nie przeżyliście wojny, to nie wiecie..." itd. A ja właśnie tego nie rozumiem. To co, że nie przeżyłam wojny? To znaczy, że o niczym nie mamy pojęcia? Że nigdy w życiu nie zdobędziemy tak wielkiego doświadczenia jak oni?

Po drodze wstępuję do sąsiadki.

– Popatrz – no, moje dziecko – mówi – znowu jakiś dom stawiają. Nabudowali tego tyle, że niedługo nie będzie się gdzie ruszyć. Pamiętam, jak jeszcze niedawno była tu tylko łąka.

Ja też pamiętam. Zawsze tam biegałam, bo rosło na niej dużo kwiatów. Było gdzie pobiegać. To była „moja" łąka. Ale obecny krajobraz też mi odpowiada. Na „mojej" łące jak grzyby po deszczu wyrosły jednorodzinne domki. Dużo ich. Całe osiedle.

Wieczorem idę do kina. Z radością stwierdzam, że doktor Witek stoi w kolejce za biletami. Więc jednak znalazł chwilę czasu. Tym razem odpowiada na moje „dzień dobry".

Ewa Krukiewicz

REDAKCYJNA POCZTA

Uwaga szkoły im. Janusza Korczaka

Z okazji 30-lecia wyzwolenia naszego miasta wybieramy bohatera szkoły. Kandydatem jest Janusz Korczak. Chcielibyśmy nawiązać kontakt z innymi szkołami i drużynami noszącymi jego imię. Prosimy pisać na adres:

Alina Wywiół
Osiedle XXV-lecia PRL 5a/1
76–010 Bobolice

Najczęściej kończy się to łzami

Mimo naszych 16 lat rodzice uważają nas i traktują jak dzieci, które na każdym kroku potrzebują ich troskliwej opieki. Faktem jest, że nie jesteśmy samodzielne i bierzemy to pod uwagę. Mamy swoich chłopców, chcemy się z nimi spotykać. Ale to jest niemożliwe – zabraniają rodzice. Żeby uzyskać pozwolenie, trzeba kłamać jak z nut. Robimy tak, choć nie sprawia nam to najmniejszej przyjemności. Natomiast, gdy mówimy szczerze – zaczynają się nieuzasadnione zakazy i przestrogi. Najczęściej kończy się to tak, że pozostajemy w domu i rozpaczamy.

Janina, Ewa i Teresa z Łodzi

Kłamię, bo muszę!

Mam 15 lat. Uczę się dobrze, ostatnio brałam udział w kilku olimpiadach: polonistycznej, matematycznej i rosyjskiej. Niedawno poznałam chłopca. Bardzo się lubimy i chcielibyśmy widywać się po szkole. Ale tego zabrania mi mama. Wychodząc więc na spotkania z chłopcem kłamię, że idę do koleżanki, szkoły itp. Wiem, że kłamstwo i tak wyjdzie na jaw, że wtedy stracę zaufanie mamy, ale – co mam robić?

Mada

Katarzyna Lewandowska, ul. Kniewskiego 23 a/21, 60—744 Poznań, chce nawiązać kontakt ze swoimi rówieśnikami, którzy urodzili się 7 grudnia 1959 r.

Zagraniczne wojaże

Zaprzyjaźniłem się z rówieśnicą z ZSRR. Teraz Olga zaproponowała mi, żebym do niej przyjechał na wakacje. Nie wiem, jakie formalności trzeba załatwić, by móc wyjechać bez rodziców. Mam 15 lat.

Antek, Pruszków

Chciałabym w tym roku zaprosić do siebie koleżankę z Czechosłowacji. Bardzo proszę o poinformowanie mnie o obowiązkach zapraszającego wobec gościa z innego kraju.

Ewa

OD REDAKCJI: 15-latek, który chce samodzielnie wyjechać za granicę, musi wypełnić kwestionariusz paszportowy, poświadczyć odpowiednią rubrykę w szkole, dołączyć 2 zdjęcia paszportowe i notarialną zgodę obojga rodziców na jego wyjazd. Wszystkie dokumenty składa w miejscowym biurze paszportowym. W wypadku wyjazdu do wszystkich krajów demokracji ludowych paszport otrzymuje się bez żadnych opłat.

Zapraszając do Polski kolegę z innego kraju (zaproszenie należy wysłać wraz z oświadczeniem rodziców, że pokryją oni koszty pobytu gościa) – zapewnia mu się mieszkanie, jedzenie, przejazdy, „kieszonkowe", no i możność poznania miasta, kraju, zobaczenia tego, co go szczególnie interesuje. Najczęściej stosowanym rewanżem jest zaproszenie Polaka do jego gościa, na przykład na następne wakacje. Wtedy, oczywiście, zapraszający ma te same obowiązki.

ETIOPIA

BYŁEM DIABŁEM...

DROGI wychodzące z Desje, nie licząc asfaltowych szos, natychmiast zaczynają wspinać się w górę. Im dalej od miasta tym stają się węższe i bardziej strome, póki nie trafią na doliny i nie zgubią się wśród uprawnych pól. Nie ma drogi, która by prowadziła do wsi, bo i nie ma tu nic takiego. Zagrody wiejskie zwane tukul, stoją z dala jedna od drugiej. Każda rodzina mieszka na uprawianym przez siebie polu.

Jedną z takich dróg wyruszyłem rano, tuż po wschodzie słońca. Celem wyprawy było jezioro Haik, leżące w odległości około trzydziestu kilometrów. Można tam było dotrzeć prawie na miejsce szosą Desje – Asmara, ale postanowiłem iść tym razem pieszo – na skróty. Chciałem zobaczyć jak żyje i pracuje etiopski wieśniak. Około południa byłem już solidnie zmęczony, chciało mi się pić i jeść. Skręciłem między łanami pszenicy i kukurydzy do najbliższego trochę zamożniejszego z wyglądu tukulu. Była to niewielka chata pokryta dachem z liści bananowca i otoczona wysokim murem z kamieni. Przecisnąłem się przez ciasne wejście i znalazłem na małym podwóreczku. Przed izbą siedziała na ławce z dwóch kamieni i gałęzi kobieta, mieszająca coś w wielkiej misie. Chrząknąłem wytwornie, a gdy spojrzała na mnie pokazałem jej gestem, że chce mi się pić rozdziawiając przy tym gębę, aby nie miała żadnych wątpliwości. Nie wiem jak to wszystko zrozumiała, ale najpierw ją wyraźnie sparaliżowało, bo zamarła w bezruchu z wytrzeszczonymi na mnie oczyma, a po chwili niezwykle się uaktywniła. Wrzasnęła przeraźliwie, nagle pojawiło się pod jej pachą wierzgające dziecko, nawet nie wiem skąd się ono wzięło, miska znalazła się na ziemi, a w moment później podwórko było puste. Stałem oniemiały nie bardzo wiedząc co dalej robić. Odejść? Czekać? Z chałupy rozlegały się krzyki kobiety, którym zawtórował płacz dziecka i głos męski wyraźnie nerwowo o coś wypytujący. Najspokojniejszy był pies; duże żółte psisko wyszło gdzieś zza muru, podeszło do moich nóg, obwąchało je starannie i usiadło spokojnie jakby czekając na dalszy rozwój sytuacji.

W tej samej chwili płachta, którą zasłonięte było wejście zafalowała lekko i w szparze ukazała się dłoń ściskająca sierp, który złowrogo zalśnił w słońcu. Nie powiem żebym przyjął ten widok z całkowitym spokojem. „Tylko ludzie pozbawieni wyobraźni nie znają uczucia strachu" – pomyślałem na swoje usprawiedliwienie. Czy ja wiem zresztą co ja wtedy myślałem – miałem pietra i tyle. Za sierpem wyłonił się zza zasłony mężczyzna. Niewysoki, chudy jak szczapa ale żylasty. Jakby ciachnął tym swoim narzędziem... Powtórzyłem drżącą ręką gest picia wody, uśmiechając się tak przyjaźnie, że już nie można bardziej. Z twarzą gospodarza zaczęło się dziać coś niedobrego. Jakoś dziwnie mu się wykrzywiła; usta zacisnęły się aż do zniknięcia warg, oczy wyszły z orbit, a policzki wydęły się jakby dmuchał w ogromną trąbę. Nic, tylko facet wpadł w szał. Nagle mężczyzna podskoczył raz, drugi i gruchnął takim śmiechem, że aż się zatoczył. Zaczął przykucać, klepać się po kolanach, w czym mu przeszkadzał sierp więc cisnął go na ziemię. Zaraz też pojawiła się kobieta a przy jej spódnicy dziecko. Coś do niej wykrztusił, a było to widocznie bardzo zabawne, bo śmiech męża natychmiast się jej udzielił. Pies zachwycony wesołą zabawą, ganiał dookoła poszczekując z radosnym skomleniem na zmianę a dzieciak już nie palec ale całą dłoń sobie wsadził do ust i patrzył z ogłupiałym zdziwieniem na tę scenę. Podobną minę miałem na pewno i ja. Wreszcie gospodarze nieco uspokoili się i mężczyzna coś do mnie zagadał. Znów zacząłem manipulować rękoma przy ustach i brzuchu, że niby mi się chce okrutnie pić, a tak naprawdę to odechciało mi się już zupełnie. Trafiło. Poproszono mnie do wnętrza.

Wszedłem przez niski otwór, który spełniał podwójną rolę drzwi i okna. W środku panował półmrok i przez chwilę niewiele widziałem. Wreszcie kontury zaczęły przyjmować kształt przedmiotów. Całe umeblowanie izby składało się z szerokiej ławy i dwu tapczanów zwanych alga. Jest to rama drewniana, do której przybite są plecione z jakiejś rośliny lub skórzane pasy. Umieszcza się taką ramę na czterech kołkach wbitych w gliniana podłogę i łoże gotowe. Gliną na gładko wylepione były również bielone ściany. Na tapczanach leżały kozie i owcze skóry, a na ścianach... To wymaga dokładniejszego opisu.

Na głównym miejscu widniała kolorowa reprodukcja przedstawiająca św. Jerzego o bardzo ciemnym obliczu, pastwiącego się nad smokiem. Św. Jerzy jest patronem Etiopii i nie ma konkurencji wśród świętych. Było jeszcze kilka „ikonowatych" obrazków, ze świętymi o brunatnych, ciemnych twarzach. Jeden z nich zwrócił moją szczególną uwagę. Był to wizerunek jakiegoś świętego, który ogania się od diabła. Diabeł miał rogi, ogon, kopyta, buchał mu z paszczy czerwony ogień i w ogóle przedstawiony był jak żywy. Różnił się tylko drobnymi szczegółami od swych braci z naszych obrazków. Miał brodę i był bardzo biały! Teraz zrozumiałem wszystko. Ta kobieta, gdy nagle zobaczyła mnie – białego z brodą, machającego rękoma i rozdziawiającego gębę pomyślała ani chybi, że to diabeł zjawił się na jej podwórku i trzeba było dopiero widocznie bardziej bywałego w świecie jej męża, abym został rozpoznany jako człowiek, tyle że Europejczyk.

Po chwili siedziałem już na tapczanie i piłem świetną zimną wodę a dziecko z ośliniona buzią, mlaskając ssało wedlowskiego cukierka. „Gawędziliśmy" sobie na migi przy pomocy kilku amharskich słów, których się nauczyłem. Gdy wydukałem: enie hid Haik, co znaczy: ja iść Haik, byli wprost zachwyceni i na zmiany powtarzali z pięć minut Haik, Haik pokazując przy tym na mnie i przebierając dwoma palcami, niby że na piechotę. Gdy zacząłem zbierać się do wyruszenia w drogę, gwałtownie zaczęli oponować pokazując, że trzeba coś zjeść. Kobieta wybiegła z izby i za chwilę wróciła z miską, którą tak nagle porzuciła. W drugiej izdebce było ulepione z gliny palenisko, na którym zaczęła przyrządzać znane mi już placko-naleśniki yndżera z ziarna zboża podobnego do prosa. Yndżera jest tym dla Etiopczyka, czym chleb i ziemniaki dla nas.

Zasiedliśmy do jedzenia. Każdy otrzymał placek i odrywając po kawałku, maczał go w brunatnym sosie. Gdybym nie próbował już sosu uot, spaliłoby mnie pewnie w środku natychmiast. Sos ten ma tylko dwa podstawowe składniki: pieprz zwany berberie i stare masło. Widywałem też w nim czasem jakieś drobne ziarenka w smaku przypominające siemie lniane, a także kawałki mięsa i jaj na twardo. Wyda się to dziwne, ale z dużą ostrożnością można to jeść i jest nawet niezłe w smaku. Później piliśmy kawę chyba z miodem, albo z czymś podobnym. Kawa byłaby nawet dobra, gdyby jej nie... posolono.

Przy pożegnaniu popełniłem błąd – chciałem zapłacić, co gospodarze przyjęli bardzo, ale to bardzo niedobrze. Byli tak wyraźnie oburzeni i dotknięci, że zrobiło mi się niesłychanie głupio. Jakoś tam w końcu się ułagodziło i garść cukierków, które dałem dziecku przyjęli już bez wahania, gorąco dziękując. Tak skończyła się „diabelska" wizyta w chacie amharskiego chłopa z prowincji Uello.

JERZY KOWALKOWSKI

● SPORT ● SPORT ● SPORT ● SPORT ● SPORT ● SPORT ● SPORT ● SPORT ● SPORT ● SPORT

I STREFOWE ZAWODY W MINI – SIATKÓWCE

SZANSA DLA SIATKARZY

JEDNĄ z najchętniej uprawianych dyscyplin sportowych jest piłka siatkowa. Swoją popularność gra ta bez wątpienia zawdzięcza prostocie przepisów i możliwości rozgrywania meczów nawet na plaży, polanie czy podwórku. Zainteresowanie siatkówką wzrosło jeszcze po ubiegłorocznym sukcesie naszej drużyny w Meksyku.

Wielu z grających w szkolnych drużynach siatkarzy marzy w skrytości ducha by pójść w ślady reprezentantów Polski — mistrzów świata. I właśnie dla tych, którzy opanowali już siatkarskie ABC nadarza się wyborna okazja — Polski Związek Piłki Siatkowej i redakcja „Przeglądu Sportowego" organizują na przełomie maja i czerwca I ogólnopolskie zawody strefowe siatkówki dziewcząt i chłopców, w dwóch grupach wiekowych: do lat 12 (rocznik 1963 i młodsi) i do lat 13 (rocznik 1962 i młodsi).

Szkoła lub klub może wystawić do zawodów dwie drużyny 3-osobowe i jednego zawodnika rezerwowego w grupie do lat 13 oraz trzy drużyny 2-osobowe i jednego zawodnika rezerwowego w grupie do lat 12.

Wymiary pól gry z każdej strony siatki wynoszą dla „dwójek" — 4 × 5 m i wysokość siatki 195 cm i 205 cm, dla „trójek" odpowiednio 5 × 6 m i 205 cm i 215 cm, Wszystkie spotkania rozgrywane będą piłkami „Mini Volly" o obwodzie około 61 cm, które dostarczy organizator zawodów.

Spotkania rozgrywane będą do jednego zwycięskiego seta do 15 pkt. z koniecznością różnicy minimum 2 pkt. Przy 8 pkt. zmiana pól gry. O kolejności zajętych miejsc w grupach eliminacyjnych oraz w finałach decydować będą kolejno: ilość zwycięstw, różnica małych punktów, wynik bezpośredniego spotkania.

Koszty przejazdu, zakwaterowania i wyżywienia pokrywają startujące drużyny. Szczegółowych danych o zawodach udziela organizator. Zgłoszenia należy wysyłać jak najszybciej pod wskazane niżej adresy:

STREFA I

Drużyny z województw: krakowskiego, opolskiego, katowickiego nadsyłają je pod adresem: turniej chłopców; organizator, KS Górnik ul. Klubowa 2, 42—540 Kazimierz Górniczy, turniej dziewcząt; organizator: KS Kolejarz, ul. Dworcowa 6, 40—012 — Katowice.

STREFA II

Drużyny z województw: wrocławskiego, poznańskiego i zielonogórskiego: turniej chłopców: SZS-AZS ul. Estkowskiego 13, 66—400 Gorzów Wlkp., turniej dziewcząt; MLKS Zawisza, ul. Żeromskiego 38, 66—100 Sulechów.

STREFA III

Drużyny z województw: kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego: turniej chłopców: FKS Stal, ul. Solskiego. 30—300 Mielec, turniej dziewcząt: KS Siarka, ul. Aleja Niepodległości 2, 39—400 Tarnobrzeg.

STREFA IV

Drużyny z województw: łódzkiego, warszawskiego oraz Warszawy Miasta i Łodzi Miasta. Turniej chłopców: RKS Lechia, ul. Nowowiejska 9, 97—200 Tomaszów Maz., turniej dziewcząt: ChKS Komunalni, ul. Kosynierów Gdyńskich 18, 93—320 Łódź.

STREFA V

Drużyny z województw: gdańskiego, koszalińskiego i szczecińskiego. Turniej chłopców; KS Stoczniowiec, ul. Marynarki Polskiej 117, 80—557 Gdańsk, turniej dziewcząt; MZKS Czarni, ul. Grottgera 11, 76—200 Słupsk.

STREFA VI

Drużyny z województw: białostockiego, bydgoskiego i olsztyńskiego. Turniej chłopców: SZS—AZS Kortowo, 10—718 Olsztyn, turniej dziewcząt: Warmia Olsztyn, ul. Gagarina, 10—256 Olsztyn.

Zdjęcie kolorowe: **E. Warmiński**
czarno-białe: **M. Swiderski**

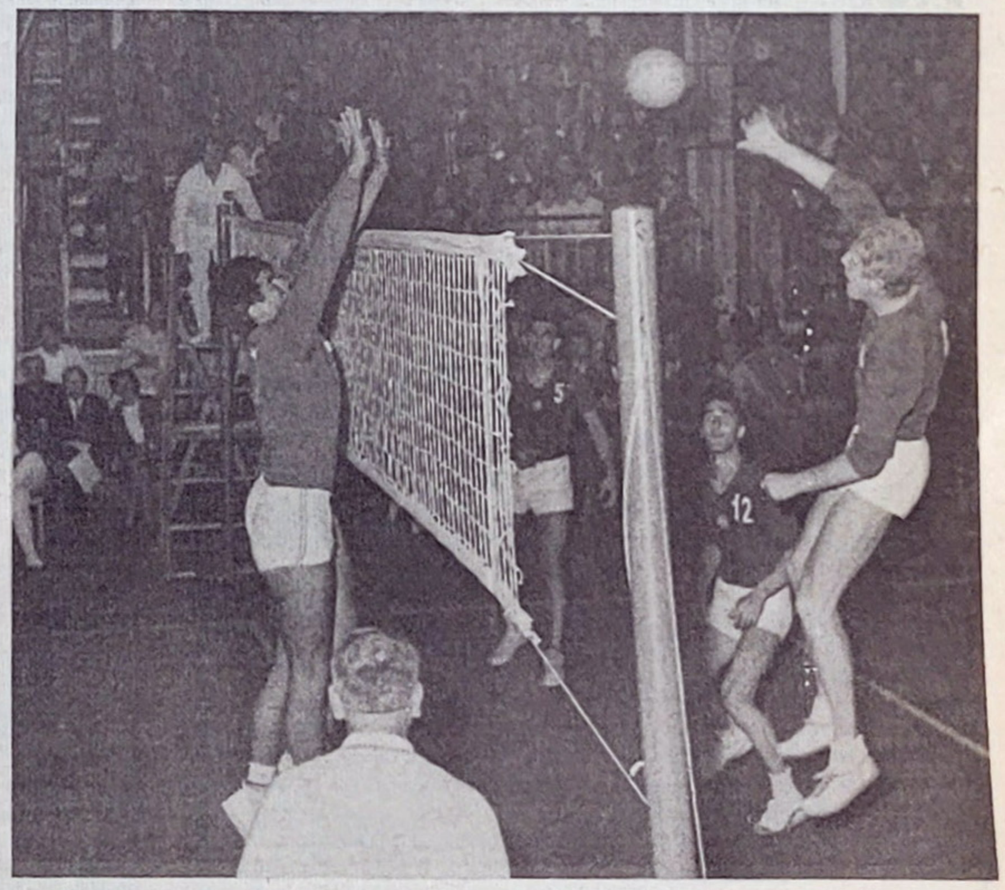

GWIAZDOZBIÓR

Aktorstwo to normalny zawód — mówi ANDRZEJ SEWERYN

— Dziesięć lat temu był pan uczestnikiem sekcji teatralnej Pałacu Młodzieży w Warszawie...

— Nie dziesięć lat temu, tylko trzynaście. To były moje pierwsze kontakty z teatrem, pierwsze zetknięcie z jego problemami. Dość zabawnie trafiłem do tego zespołu: moja koleżanka szkolna, dzisiejsza znakomita aktorka Stanisława Celińska, zaprosiła mnie tam na premierę jakiegoś spektaklu. Po przedstawieniu odbyła się dyskusja, w czasie której zabrałem głos i bardzo ostro zaatakowałem reżysera, aktorów, autorów. W rezultacie tej dyskusji... poprosiłem, żeby przyjęli mnie do zespołu. Pracą naszej grupy kierował wówczas pan Jerzy Kamieński, aktor — człowiek, który umiał pokazać nam nie tylko piękno teatru, ale i jego, często przykrą, codzienność. Umiał nam przekazać swoją wiedzę o teatrze i swoje umiejętności. Do dziś pamiętam niepowtarzalną atmosferę pracy w tym zespole. I — skoro od tego zaczął pan naszą rozmowę — mogę powiedzieć, że właśnie wtedy, w Pałacu Młodzieży, zadecydowało się całe moje przyszłe życie. Nie wyobrażam sobie w tej chwili zmiany swego zawodu. Przed maturą musiałem przerwać pracę w zespole. Zdałem egzamin maturalny, dostałem się do Szkoły Teatralnej w Warszawie, a po jej ukończeniu miałem to szczęście, że zacząłem pracować w teatrze „Ateneum". I cieszę się, że mogę nadal tutaj pracować.

— I właśnie w „Ateneum"...

— ...po trzynastu latach — spotkałem się na scenie ze Stanisławą Celińską. Będziemy teraz razem grać w dwuosobowej sztuce Kroetza „Górna Austria" w reżyserii Zdzisława Tobiasza.

— W pracę teatralną wszedł pan od razu po szkole.

— Jeszcze w trakcie zajęć szkolnych na IV roku brałem udział w próbach w teatrze. Początek mojej pracy nie był tak olśniewający, jak niektórzy sądzą, nie było w tym niczego nadzwyczajnego. Po prostu: jedno zastępstwo, drugie, kilka epizodów. Tak było wtedy i tak jest teraz, po siedmiu latach pracy w teatrze. W spektaklach takich jak „Bal manekinów" czy „Tragiczne dzieje doktora Fausta" nie gram dużych ról. Niczego nadzwyczajnego w tym nie ma. Myślę, że moja droga do teatru była całkiem normalna. Oczywiście, miałem wielkie szczęście. I to niezależnie od rezultatów artystycznych mojej pracy. Miałem szczęście, dlatego że w ogóle coś robiłem.

— Ale to jest zaniżanie ambicji!

— Ja panu powiem — może to jest zaniżanie ambicji, ale... Jest tylu aktorów, którzy nic nie robią, albo zajmują się czymś innym...

— Chyba na brak pracy nie może pan narzekać. Grał pan, że wymienię tylko niektóre tytuły, w „Ziemi obiecanej" Wajdy, „Podziemnym przejściu" Kieślowskiego, „Ameryce" wg Kafki, „Bloomusalem", „Wspólniku", „Biesach", „Głupim Jakubie", „W domu z powrotem", „Henryku IV", „Żeglarzu". Pracuje pan w radio, nagrywa pan dubbing — w sumie ogromna ilość ról w ciągu siedmiu lat. W końcu po coś pan to robi, nie tylko przecież, żeby robić cokolwiek?

— Proszę pana — ja to robię dla pieniędzy.

— ?!

— To prawda — większość tego co robię, robię dla pieniędzy. Są rzeczy, które robiłbym również za darmo, ale jest ich niewiele. Ale tego nie będzie pan mógł pewnie napisać...?

— Nie, dlaczego — napiszę: wszyscy sobie wyobrażają, że aktor zarabia bajońskie sumy...

— No i dobrze, nawet nie będę o tym dyskutował, bo to jest strata czasu. Poszczególne instytucje płacą niewiele, a pieniądze są potrzebne, na litość boską... Dziecko mam od trzech tygodni!

— Ale nie będzie pan chciał, żeby córka została aktorką?

— Nie.

— Wszyscy aktorzy nie chcą, żeby ich dzieci też były aktorami. Nie jest to dziwne?

— Proszę pana — po co? Jest tyle poważniejszych i nie wymagających tylu poświęceń zawodów, ot chociażby filolog, chemik, fizyk. A aktor...? Weźmy dubbing: wchodzi się do studia, otrzymuje się tekst napisany po polsku, na ekranie widzi się fragment, który ma się zdubbingować. Potem wyłącza się głos z ekranu, słyszy się go w słuchawkach i synchronizując z długością ruchu warg osoby, którą widzi się na ekranie, nagrywa się tekst polski, który napisany jest na kartce leżącej przede mną. Po kilku godzinach pracy, szczypią oczy, w brzuchu burczy, boli głowa, mdleją nogi. Często, aczkolwiek nie zawsze, robimy to w sposób twórczy — nie tylko dubbingujemy, ale staramy się również jakby grać te postaci z ekranu. Jeśli chodzi o mnie, to najczęściej jest tak, kiedy pracuję z panią Zofią Aleksandrowicz-Dybowską, reżyser dubbingu. Praca w dubbingu jest niesłychanie ciężka, w wielu wypadkach niezbędna i absolutnie niedoceniana.

— Czy daje aktorowi satysfakcję?

— Tak, czasami, nie zawsze.

— No dobrze, ale nawet mając mało satysfakcji z pracy, nie zmieniłby pan zawodu?

— Nie, nie, nie — bo ja nie umiem nic innego robić. Nie oszukujmy się — nie umiem nic innego robić. Że kocham? — Czasami zdarzają się sytuacje, że kocham ten zawód, ale bardzo często go nienawidzę.

— Cały czas stara się pan przyrównać aktorstwo do normalnego zawodu...

— Ależ oczywiście! Bo to jest normalny zawód!

Rozmawiał: JERZY KULIK
Zdjęcie: R. Pieńkowski

15 minut z MAGDĄ

Spotkałam dzisiaj na ulicy Romka, który chodził z nami do ubiegłego roku, a później wyprowadził się. Ponieważ ani on się nie spieszył, ani ja, więc pogadaliśmy sobie co nieco. Opowiedział mi m. in. dramatyczno-komiczną historię której mimo woli stał się niedawno osią.

W ogóle, to wszystko razem brzmi tak nieprawdopodobnie, że gdyby nie fakt, iż opowiedział mi o tym Romek, człowiek, którego cechą charakterystyczną jest patologiczny niemal brak fantazji, pewnie bym potraktowała to za wymysł. Romek ma hobby. Niegroźne, rozwiązuje krzyżówki i nagminnie wysyła rozwiązania do wszystkich gazet i czasopism, które je drukują. Czasami otrzymuje nawet jakieś nagrody. Dwa, trzy miesiące temu również miał szczęście i wylosował książkę. Czasopismo od tej nagradzanej krzyżówki wydrukowało listę nagrodzonych — taką nie tylko z nazwisk, ale i z adresów. No więc był tam wydrukowany i adres domowy Romka. Od tego się zaczęło!

Na trzeci dzień listonosz przyniósł mu trzy listy, na czwarty — 15, na piąty — 47, a potem to już nie wiem, bo Romek nie liczył. I tak ledwie czasu mu starczało na czytanie, a z matematyką zawsze był na bakier. Twierdzi, że lektura to była (i jest) zupełnie szalona. Wszystkie listy były od dziewcząt, najstarsza (z tych, co się tak dokładnie przedstawiały, bo były i anonimki) miała lat 18, najmłodsza — 11. Wszystkie... zakochały się w Romku i wszystkie proponowały mu korespondencyjną przyjaźń, wymianę zdjęć z dedykacjami i temu podobne głupstwa. Romek, gdy mi to opowiadał, był dumny jak paw. Ze swojego powodzenia!

Faktycznie, ilościowo to powodzenie ma teraz szalone, ale jakościowo?! Nie rozumiem, jak może się tak głupio cieszyć. Przecież te dziewczyny to chyba się wszystkie wygłupiają, a on wierzy, że można się w chłopaku zakochać na odległość, nie widząc go w życiu na oczy i wiedząc o nim tylko jedno — że prawidłowo rozwiązał krzyżówkę i że ma trochę szczęścia (nagród jest zawsze mało!). Co prawda, to i dziewczyny nie bardzo rozumiem. Na co liczyły? Chyba na nic, no, a jak się na nic nie liczy, to szkoda forsy na znaczek pocztowy. W każdym razie mnie by było żal. No razie żal mi Romka. Biedaczyna! Spotkało go przypadkiem coś tak zupełnie nieoczekiwanego, że... zgłupiał kompletnie. A kiedyś nie był wcale taki głupi. Czyżby nadmiar pozornych sukcesów tak właśnie wpływał na człowieka?! Muszę się nad tym poważniej i głębiej zastanowić, zaczynam się obawiać i o swoje komórki mózgowe — przedwczoraj bowiem udało mi się zupełnie przypadkiem rozwiązać bardzo trudne zadanie z chemii.

Magda

OŚMIORĘKI POTWÓR

OŚMIORNICA zawdzięcza swoją złą sławę pisarzowi francuskiemu, Wiktorowi Hugo, który w „Pracownikach morza" dokładnie opisał jak zwierzęta te pożerają człowieka. „...Człowiek dosłownie wnika w bestię. Bestia przywiera tysiącem nikczemnych warg: hydra wciela się w człowieka. Stanowią jedność... Tygrys może cię tylko pożreć; polip, o zgrozo, wchłania cię. Wciąga cię i wysysa, a ty, spętany, przylepiony, bezsilny, czujesz, że przelewasz się powoli w ten przeraźliwy wór, który jest potworem.

Zostać zjedzonym żywcem to straszne, gorzej jeszcze być żywcem wypitym..."

Czy taka rzeczywiście jest ośmiornica, jaką powyżej opisał W. Hugo? Pytanie to zadali sobie dwaj inni Francuzi, J. Y. Cousteau i F. Dumas — znani na całym świecie badacze tajemnic podmorskiego świata.

Swoje spotkania z ośmiornicami opisali w książce pt. „Milczący świat".

„Na dnie spotkaliśmy liczne okazy tego głowonoga, nie mniej liczne uczepione były ścian skalnych. Pewnego dnia Dumas postanowił sprawdzić, czy diabeł jest taki straszny, jak go malują i ściągnął ośmiornicę ze skały. Był nieco przestraszony własną odwagą, ponieważ jednak ośmiornica należała do okazów średniej wielkości, uważał, że jest zbyt duży, by go mogła żywcem wypić. Jeśli samopoczucie Fryderyka dalekie było od bohaterstwa, to głowonóg był wprost porażony. Desperacko wił się, by się uwolnić z uchwytu czteroramiennego potwora, aż w końcu zdołał umknąć z jego łap. Ruszył do ucieczki odpływając niezbyt szybko z pomocą własnego napędu rakietowego — smugi osławionego atramentu znaczyły jego drogę.

Didi próbował wielokrotnie, lecz bez rezultatu skłonić ośmiornicę do „przywarcia doń tysiącem nikczemnych warg". Otaczał swe nagie ramię mackami, jednak głowonogi broniły się przed tymi czułościami. Siłą dociskał ssawki do ciała uzyskując tylko krótkie przylgnięcie. Macki dawały się łatwo oderwać — na skórze pozostawały krótkotrwałe ślady po przyssawkach..."

Tak więc przerażający opis ośmiornicy W. Hugo, jest po prostu fikcją literacką.

Zwierzę to porusza się aż trzema sposobami. Potrafi pływać z pomocą dwóch okrągłych, mięsistych fald znajdujących się po obu stronach ciała. Używa je do sterowania i spokojnego, wolnego pływania. Potrafi też pełzać po twardej powierzchni. Wreszcie trzeci, najszybszy sposób poruszania się ośmiornicy, to odrzut.

Podobnie jak wszystkie głowonogi, ośmiornice posiadają tzw. płaszcz z faldów skóry, rozrastającej się od strony grzbietowej. Płaszcz ten niejako otacza ciało tworząc tzw. jamę płaszcza posiadającą dwa otwory.

Przez dolny otwór ośmiornica nabiera do jamy płaszcza wodę, po czym zamknąwszy szczelnie płaszcz ściąga raptownie mięśnie i silnym wytryskiem wyrzuca wodę przez drugi otwór, w kształcie lejka. Powstaje w ten sposób siła odrzutu powodująca szybki ruch ciała w kierunku przeciwnym wytryskowi wody. Taki sposób pływania stosują głowonogi jedynie w razie grożącego im niebezpieczeństwa.

Ośmiornice zamieszkują wszystkie oceany na głębokościach dochodzących aż do 5 tys. metrów. Niewiele organizmów żywych przejawia taką zdolność. Głowonogi te posiadają pod jednowarstwowym nabłonkiem komórki barwnikowe, czyli chromatofory, nad którymi sprawują świadomą kontrolę. Ośmiornica może być w pewnej chwili błękitno-zielona, w innej — brązowa, a kiedy indziej czerwona lub nawet śnieżnobiała. Często mogą to być kombinacje kolorów. Pewien rodzaj ośmiornic przybiera np. wzór w pasy brązowo-białe.

Ta ogromna możliwość zmiany ubarwienia pomaga im w szybkim upodobnianiu się do otoczenia. Głównym jednak środkiem obrony ośmiornic przed wrogiem jest wydzielana przez nie ciecz czernidłowa. Do tej pory uważano, że taka „atramentowa bomba" spełniała po prostu rolę „zasłony dymnej", umożliwiając ucieczkę. Niedawno jeden z badaczy wysunął interesującą hipotezę, że ciecz ta paraliżuje zmysł wzroku i powonienia u napastników.

Ciało ośmiornicy jest niezwykle elastyczne. Może ono przejść przez nieprawdopodobnie małe otwory. W laboratoriach obserwowano wielokrotnie ucieczkę ośmiornic — zwłaszcza nocą — ze zbiorników w których je umieszczano. Nawet gdy wierzch był należycie zabezpieczony, potrafiły wyślizgiwać się przez szczeliny — wydawałoby się — zbyt wąskie dla nich. Zdarzały się ucieczki ośmiornic ze szczelnie zamkniętych puszek blaszanych czy drewnianych pudeł.

I jeszcze jedna informacja: długość ciała ośmiornicy może osiągać aż do 10 metrów!

(bor)

Z TAJEMNIC PRZYRODY

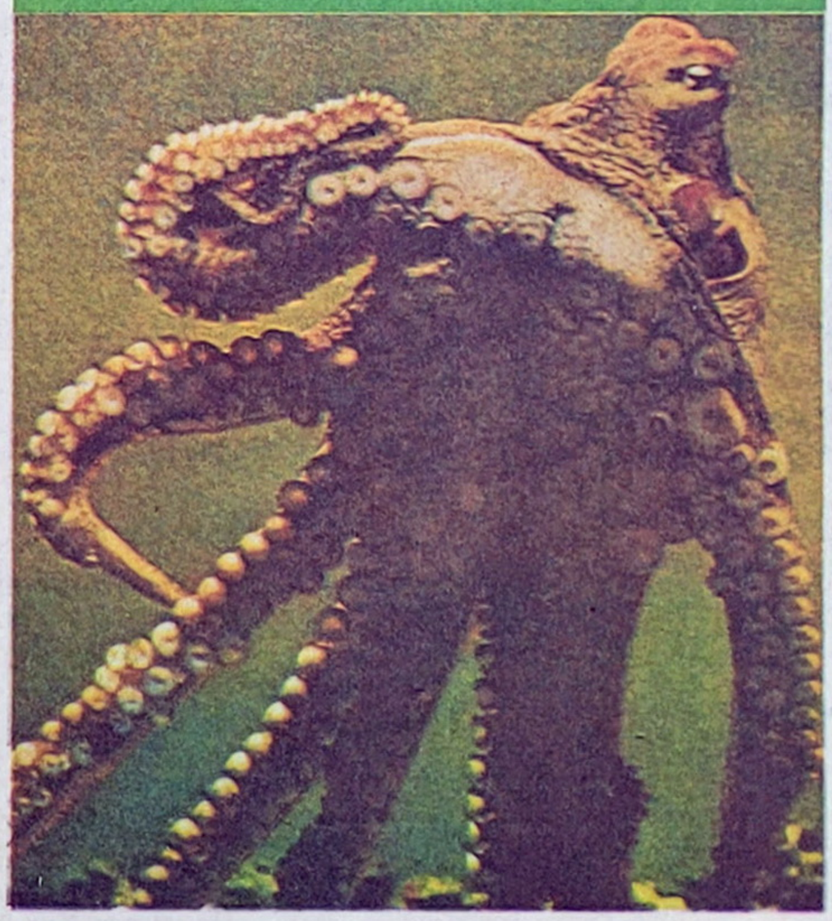

GIEŁDA POMYSŁÓW „LATO CZEKA"

NOCNY SPACER

Byłam w ubiegłym roku na koloniach, gdzie przeżyłam jedną cudowną atrakcję. Działo się to w ostatnią noc przed wyjazdem. Obudzono nas o 24.00, wszyscy musieli się ciepło ubrać, zostaliśmy podzieleni na 6-osobowe grupy, które kolejno wyruszały w... ciemną noc. Szliśmy sami, bez wychowawczyń, które były poukrywane tak, że nie dostrzegło by ich i najbystrzejsze nawet oko. Posiadały one również ze sobą różne instrumenty perkusyjne. Mimo więc, że szliśmy przez ciemny las, nikt nie zabłądził, bo na dobrą drogę naprowadzały nas właśnie głosy tych instrumentów. Po drodze napotkaliśmy oczywiście wiele różnych przeszkód, które trzeba było pokonać. Gdy dotarliśmy do celu czyli na brzeg morza odbyło się tam ślubowanie z morzem.

Nigdy nie zapomnę tej nocy! Myślę, że podobny nocny spacer można zorganizować wszędzie, nie tylko na koloniach nad morzem.

Iwona R.
ze Szczecina

TROCHĘ DLA INNYCH, TROCHĘ DLA SIEBIE

Nasz zastęp tradycyjnie już bierze w czasie wakacji udział w Nieobozowej Akcji Letniej. W tym roku chcemy głównie zająć się zagospodarowaniem terenu dla naszej arużyny – będziemy wykonywać boisko do piłki ręcznej i nożnej, plażę, pracować nad zagospodarowaniem miejsca pod przyszłe obozowisko. Oczywiście nie zapominamy i o przyjemnościach dla siebie – planujemy zorganizowanie wielu wędrówek po bliższej i dalszej okolicy, chcemy urządzić na terenie kilku najbliżej położonych wsi turniej na najlepszego sportowca i na najlepszego śpiewaka. Nasz zastęp wspólnie z zastępem dziewcząt z naszej klasy chciałby również w czasie wakacji nieco zarobić – będziemy zbierać makulaturę i złom, część dochodu z tej akcji przeznaczymy na NFOZ, część na nasze potrzeby.

Józek Żuromski
zastępowy „Sobieradzików"
z Kaszewa

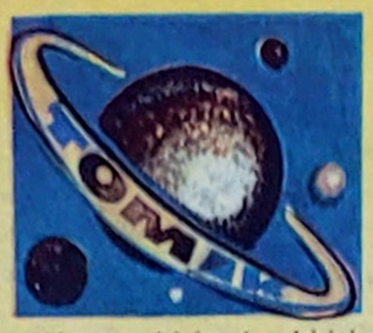

Mam nadzieję, że dzisiejsze wydanie TOMIKA pomoże wielu amatorom obserwacji astronomicznych w budowie prostego teleskopu. O wskazówki w tej sprawie prosiło mnie dziesiątki Czytelników m. in. Jacek Listkowski z Kocka, Grzegorz Dobranowski z Pyskowic, Jędrek Jankowski ze Szczecinka, Leszek Jachemczyk z Polczyna Zdroju, a także Janusz Poliński, jako przewodniczący nowo powstałego klubu „Galileo" z Przemyśla (ul. Manifestu Lipcowego 19/1). Dziś również zamieszczam odpowiedzi dla ojca Grzegorza, z których również możecie skorzystać.

Uwaga, Witold Skwara z Łodzi – bardzo proszę, przyślij te 3 zdjęcia Saturna. Może będzie można je zamieścić w TOMIKU. Po wykorzystaniu zostaną zwrócone.

Prezes TOMIKA
St. BOROWIECKI

OBROTOWE MAPY NIEBA

Informuję wszystkich moich rówieśników, że PTMA prowadzi wysyłkę obrotowych map nieba. Po wysłaniu listu do PTMA trzeba odczekać pewien czas i po kilku tygodniach otrzymuje się mapę. Ja czekałem trzy tygodnie. Oto adres: Zarząd Główny PTMA, ul. Solskiego 30/8, 31-027 Kraków. (Cena 1 egz. 25 zł plus koszt przesyłki).

Bogdan Kostur

★

KTO ODPOWIE IWONIE?

Chciałabym wiedzieć jaki jest związek między Ziemią, a Saturnem? Dlaczego ilość pierścieni Saturna jest równa ilości epok lodowcowych na Ziemi?

Iwona

JAK ZBUDOWAĆ NAJPROSTSZĄ LUNETĘ?

Prawie każdy marzy, aby móc obejrzeć z bliska Księżyc, planety, gwiazdy. Nie każdy jednak ma możliwość oglądania ich przez teleskop. Postanowiłam dopomóc Czytelnikom Tomika w budowie najprostszej lunetki. Składa się ona z następujących części: dwu rur, dwu powiększających soczewek oraz podstawy. Najważniejszą częścią lunety są soczewki dwuwypukłe: +2 i +50 dioptrii. Soczewki zakupimy w każdym większym sklepie optycznym. Teraz przystąpimy do wykonania obu rur. W tym celu należy wystrugać dwa krążki drewniane (najlepiej wytoczyć) i okleić je papierem smarując każdą warstwę klejem. Nie zapomnijcie tylko przedtem dobrze natrzeć krążków woskiem lub parafiną (aby je można było wysunąć z wnętrza rury). Średnica rur musi być dopasowana do średnicy soczewek, z tym jednak, że krótsza rura musi mieć średnicę mniejszą o około 5 mm. Rury muszą być następującej długości: około 45 cm i 20 cm. (W sklepach z przyborami kreślarskimi można nabyć gotowe tuby do przenoszenia rysunków – może uda się Wam dobrać odpowiednie). Po dopasowaniu obu rur (mniejsza powinna wchodzić z lekkim oporem) należy wnętrze dobrze poczernić, pamiętając o tym, że czerń musi być zupełnie matowa.

Teraz przystępujemy do osadzenia soczewek w rurach. W tym celu soczewkę oklejamy dwoma pierścieniami wyciętymi z kartonu, trzeci pierścień przyklejamy do dwóch poprzednich. Tak przygotowane soczewki wklejamy do rur. Do rury krótszej wklejamy soczewkę +50 dioptrii. To jest okular. Do dłuższej mocujemy soczewkę +2 dioptrie i tę część zwiemy obiektywem. Patrzy się w okular, kierując obiektyw na oglądany przedmiot. Po zabezpieczeniu naszego przyrządu przez kilkakrotne polakierowanie emalią olejną, przystępujemy do wykonania podstawy. Składać się ona będzie z sześciu części, a mianowicie: uchwytu (blacha grubości 1 mm), głowicy (drewno), tulei (tektura), trzonu podstawy (drewno), spodu (drewno), wzmocnienia (sklejka 10 mm). Montaż lunety do podstawy pokazuje rysunek. Podczas obserwacji należy rurę okularu przesuwać w rurze zewnętrznej dopóty, dopóki nie osiągnie się położenia, w którym oglądany przedmiot będzie wyraźnie widoczny, ostry.

Od redakcji: powyższy opis budowy lunety przysłała nam Małgorzata Krawczun. Był on swojego czasu zamieszczony w „Trybunie Ludu". Małgosia pisze, że chętnie nawiąże korespondencję na tematy astronomiczne. Oto jej adres: ul. Limanowskiego 14/20, 11-400 Kętrzyn.

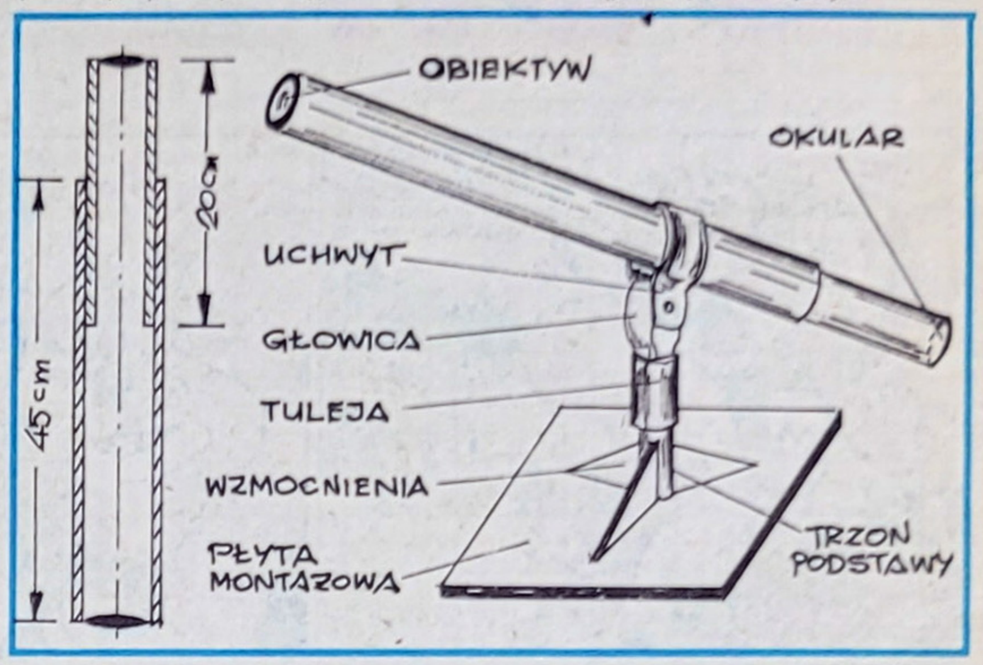

W sprawie budowy teleskopu zwierciadlanego

(ODPOWIEDŹ OJCU GRZEGORZA)

CHCIAŁBYM pomóc ojcu Grzegorza, chociaż nie dysponuję tymi planami. Aby jednak zbudować teleskop zwierciadlany, trzeba zostać członkiem sekcji PTMA (Polskie Towarzystwo Miłośników Astronomii). Jedynie za ich pośrednictwem można nabyć specjalne płyty i proszki karborundowe do szlifowania zwierciadła (do wykonania zwierciadła wklęsłego potrzebne są 2 jednakowe, okrągłe płyty). Płyty są w następujących wymiarach: 15 cm, 20 cm, 25 cm, 35 cm. Na początek proponuję panu wykonanie zwierciadła o średnicy 15 cm (ja również w niedługim czasie przystąpię do budowy teleskopu o takiej średnicy).

Budowa teleskopu nie jest zbyt trudna, ani kosztowna. Wymaga tylko wytrwałości. Własnoręcznie wykonanym teleskopem można uzyskać powiększenie od 100 × do 150 ×.

Życzę pogodnego nieba i naukowych obserwacji.

Zbigniew Burda

CHCIAŁBYM panu pomóc w zdobyciu wiadomości dotyczących budowy teleskopu zwierciadlanego, gdyż sam przekonałem się jak trudno jest wyszukać odpowiednią literaturę na ten temat. Polecam panu zwłaszcza książeczkę Antoniego Rybarskiego i Krzysztofa Serkowskiego **„Amatorski teleskop zwierciadlany".** Znajdzie pan w niej cenne wskazówki dotyczące budowy teleskopu. O zakresie wiadomości zawartych w książce niech pana zorientują tytuły rozdziałów: 1) Płyty szklane i materiały szlifierskie, 2) grube szlifowanie, 3) drobne szlifowanie, 4) polerowanie, 5) tubus i oprawa zwierciadeł, 6) montaż, 7) regulacja teleskopu itp. Cena książki wynosi 12 zł. Nabyć ją można za zaliczeniem pocztowym w Zarządzie Głównym Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii w Krakowie przy ul. Solskiego 30/8, 31-027, Kraków. Płyty szklane o średnicy 15 cm (w cenie 50 zł sztuka) oraz materiały szlifierskie można nabyć również za pośrednictwem Zarządu Głównego PTMA, wpłacając odpowiednią kwotę na konto PKO I OM Kraków nr 4-9-5227. Pod adresem Zarządu Głównego PTMA można również przysłać zgłoszenia o przyjęcie w poczet członków PTMA, można także dowiedzieć się gdzie znajduje się najbliższy oddział terenowy PTMA, jak również zaprenumerować miesięcznik „Urania", jedyne dostępne w Polsce czasopismo omawiające zagadnienia astronomiczne (cena prenumeraty rocznej 72 zł, a dla członków PTMA 54 zł).

Dodatkowe informacje dotyczące teleskopu znajdzie pan w następujących numerach „Uranii" nr 1 r. 1954, nr 4 r. 1955, nr 2, 5, 11 r. 1956, nr 2 r. 1957, nr 9 i 12 r. 1966, nr 12 r. 1967, nr 6 i 12 r. 1969, nr 6 r. 1970, nr 9—10 r. 1971, które to numery można nabyć za zaliczeniem pocztowym, również w Zarządzie Głównym PTMA w cenie 2 zł (za numery wydrukowane do roku 1964 włącznie) i w cenie 6 zł począwszy od 1965 r.

Tomasz Lipiński
Umultowo k/Poznania

Wkrótce Gieorgij Wasiljewicz w ogóle przestał chodzić do pracy. Maryna Wikientiewna przygnębiona jego zachowaniem zmuszona była wyjechać na miesiąc do sanatorium, by podleczyć nerwy.

Wykorzystując nieobecność żony mój sąsiad rozkręcił się na całego. Obecnie codziennie pokonywał 5 butelek. Pojawili się wokół niego przyjaciele do wypitki i nawet wesołe panienki. Butelka cały czas była w ruchu. Co siedemnaście minut ktoś niepewnym krokiem wędrował do kuchni i napełniał ją wodą z kranu. Ponieważ proces zamiany wody w wino wymagał dziennego światła, ograniczało to pijących, ale wkrótce jeden z kompanów Gieorgija Wasiljewicza przyniósł skądś silną lampę dającą dzienne światło. W ten sposób butelka pracowała na trzy zmiany. W dodatku do wszystkiego powiedzianego powyżej koleżkowie mego sąsiada wpadli na pomysł, by przelewać kahor do zwykłych butelek i sprzedawać go na targu, a za otrzymane pieniądze kupować wódkę, co doprowadziło do dalszego zalkoholizowania. Obecnie z powodu ryków i wrzasków za ścianą pozbawiony zostałem możliwości oddawania się ulubionemu zajęciu – lekturze literatury naukowo-fantastycznej. Goście krzyczeli w dzień i w nocy, śpiewali pieśni liryczne, tańczyli z przytupem zachodnioeuropejskie tańce i nieustannie wznosili toasty za mądrego właściciela Wielkiej Butelki. Kiedy uprzejmie pukałem w ścianę i prosiłem o ciszę, śmiali się ze mnie i nawet grozili rękoczynami.

Maryna Wikientiewna zakończyła pobyt w sanatorium wróciła do domu i zastała w mieszkaniu taki ponury obraz, że całe leczenie uleciało z wiatrem. W stanie podniecenia nerwowego wyrwała z rąk męża wieczną butelkę i wpadła do mego pokoju.

– To ty, łajdaku, podsunąłeś memu mężowi to przeklęte naczynie! – krzyknęła. – To ty, łotrze, spiłeś mego męża! – I z tymi słowami cisnęła we mnie Wielką Butelką, która rozbiła się o moją głowę, a ja upadłem zalany krwią!

Poznawszy swój błąd Maryna Wikientiewna ze łzami przypadła do mnie i zaczęła stosować pierwszą pomoc w nagłych wypadkach. Ale ta rana od butelki była tak poważna, że potrzebna była interwencja specjalisty, i obwiązawszy głowę grubym ręcznikiem poszedłem do przychodni rejonowej, gdzie mnie opatrzono. Kiedy lekarz zaczął spisywać historię choroby, spytał, w jakich okolicznościach nastąpiło uszkodzenie mojej głowy. Żeby nie wsypać sąsiadki oświadczyłem, że napadli mnie uliczni chuligani, którzy następnie bezkarnie się rozbiegli. Lekarz całkowicie temu uwierzył, ponieważ chuliganów mamy dość.

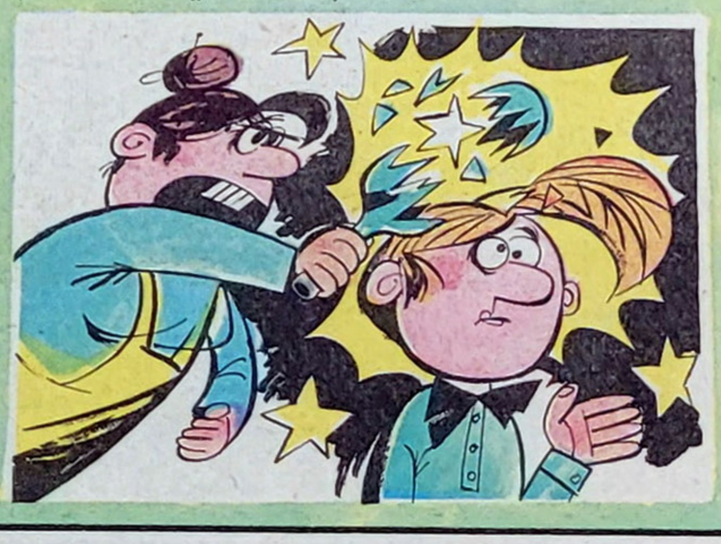

Kiedy stawiłem się w pracy z obandażowaną głową, zainteresowała się tym Antonina Antonowna, odkrywczyni Wielkiej Butelki. Na jej pytanie, co się stało, opowiedziałem jej całą smutną prawdę.

– No cóż, teraz rozumiem, że mój niezwykły wynalazek może tylko ludziom zaszkodzić – stwierdziła ze smutkiem. Za wcześnie jeszcze dla ludzkości, by przeszła na darmowe wino.

Wkrótce odszedłem z łaźni i zacząłem pracować w innym miejscu i nie spotkałem więcej Antoniny Antonowny. A nie tak dawno dowiedziałem się, że umarła. Ponieważ o Wielkiej Butelce znikąd niczego nie słychać, zrozumiałe, że swą tajemnicę wynalazczyni ze sobą zabrała do grobu.

Co się tyczy moich sąsiadów, to od razu potem, jak butelka została rozbita, Gieorgij Wasiljewicz przestał pić, wrócił do pracy i uczciwą robotą odrobił swoje przymusowe bumelanctwo. Między małżonkami zapanowała zgoda, ale nie zapraszali mnie już na rodzinne uroczystości. Ja zaś uważając siebie za winowajcę wszystkich zmartwień, jakie spadły na tę zgodną rodzinę, postanowiłem wyjechać, by swoją obecnością nie przypominać o smutnych wydarzeniach związanych z Wielką Butelką.

Załatwiłem wymianę i przeprowadziłem się do sześciometrowego pokoju, który mieścił się w mocno zagęszczonym wspólnym mieszkaniu w innym domu i na innej ulicy.

Ja tak wciąż o sobie i o sobie, a przecież Was, szanowni Czytelnicy, interesuje zapewne mój nieprzeciętnie utalentowany brat, Wiktor.

d.c.n.

ŚWIAT MŁODYCH

TYGODNIK GAZETA NASTOLATKÓW

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki, Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wojciech Pielecki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska, Bożena Zwolińska.

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-18

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA — RSW „Prasa—Książka—Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00—561 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52, 29-36-19. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i powiatowych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo - telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Wronia 23, 00-840 Warszawa, konto PKO I-6-100021. Sprzedaż numerów zdezaktualizowanych na pisemne zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Towarowa 23, 00—958 Warszawa.

Opracowanie graficzne: T. Baranowski

Redakcja techniczna: W. Stefańczak

DRUK: Państwowe Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa.

Zam. 57/3113 B-72
Nr indeksu — 38039/35046.

WUK czyli PRZYGODY PEWNEGO LISA

NA PODSTAWIE POWIEŚCI ISTVÁNA FEKETE OPRACOWALI: TIBOR CS. HORVÁTH — TEKST i ATILLA DARAGAY — RYSUNKI

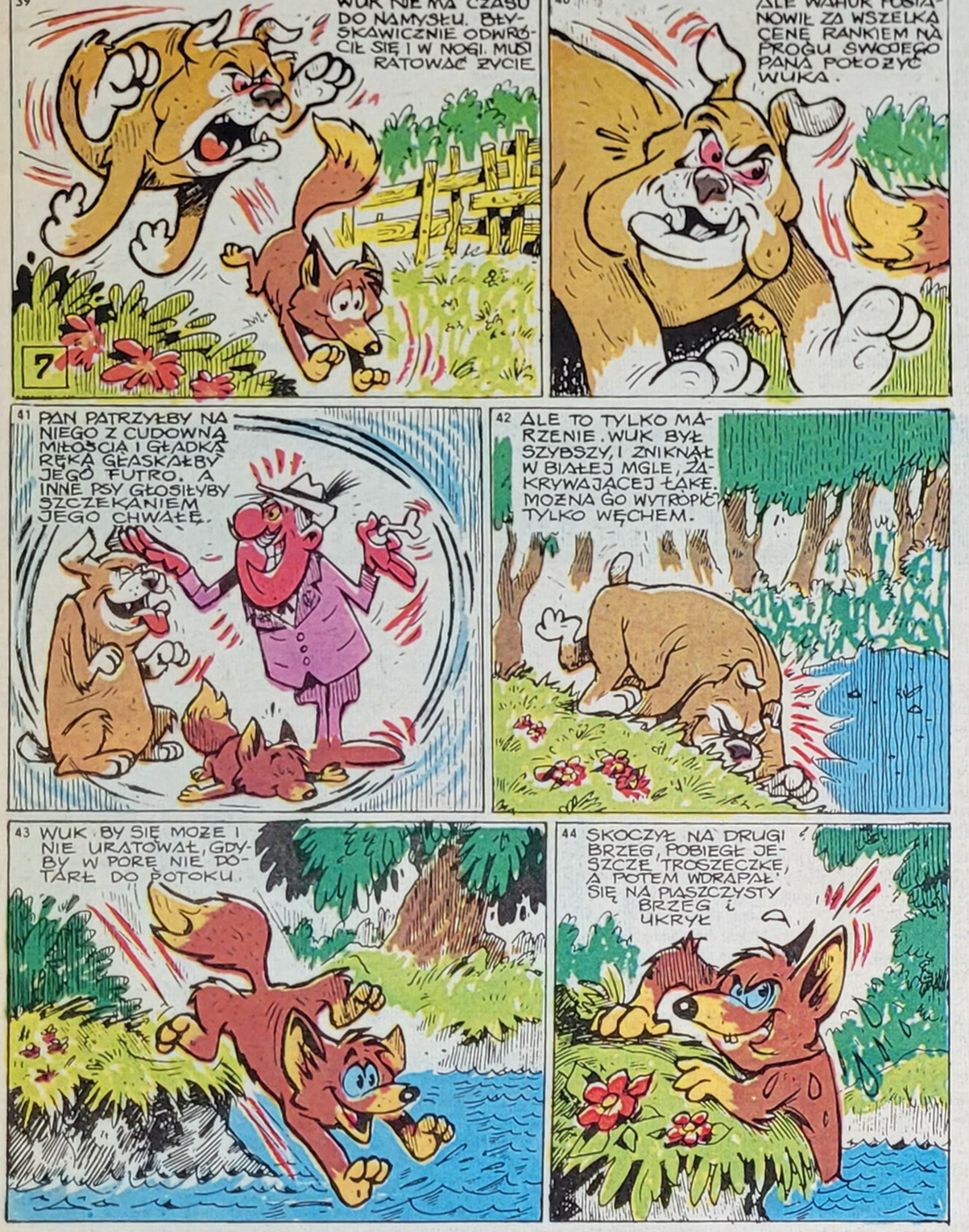

CHŁOPIEC Z PIĘCIOMA NIE

WADIM SZEFNER

Tłum. Zofia Dudzińska
Rys. W. Lewiński

11.

RZECZ w tym, że naruszając częściowo przysięgę Antonina Antonowna wzięła do Persji jedną ze swych czarodziejskich butelek. Pewnego razu, kiedy młoda księżna razem z mężem spędzała lato we wspaniałej prywatnej willi na wybrzeżu Morza Kaspijskiego, przyszło jej do głowy, by poczęstować księcia winem, żeby łatwiej znosił skwar. Książę wziął kielich z jej rąk, potem drugi i czując przypływ nowych sił postanowił się wykąpać. Kiedy odpłynął pięćdziesiąt metrów od brzegu, rozległ się jego krzyk i zniknął pod wodą. Ku wieczorowi fale wyrzuciły na brzeg jego zwłoki. Podczas sekcji okazało się, że wypity po raz pierwszy w życiu przez księcia alkohol wywarł straszliwy skutek i był przyczyną śmierci.

Młoda wdowa wróciła do Petersburga, gdzie natychmiast zgłosiła się do klasztoru, zamierzając zostać zakonnicą. Ponieważ jednak w Persji została muzułmanką, do klasztoru jej nie przyjęto. Zanim załatwiła powrót na łono kościoła, zaczęła się pierwsza wojna światowa, potem nastąpiła rewolucja i Antoninie Antonownie odechciało się już klasztoru. Wówczas postanowiła podjąć pracę w łaźni, tym bardziej, że ciepłe powietrze rozbieralni przypominało jej w jakiejś mierze upalne wybrzeże Morza Kaspijskiego, gdzie najpierw znalazła swoje szczęście, a potem utraciła je z powodu fatalnej butelki... I teraz, po upływie wielu lat, kiedy czeka ją emerytura, a jeszcze później inny świat, chciałaby bezpłatnie opublikować swój wzór. Ale powstrzymuje ją obawa, czy jej odkrycie nie stanie się dla ludzi złem.

— Daję panu tę butelkę w celach doświadczalnych — zakończyła swą opowieść. — Może pan używać jej osobiście lub podarować jakiemuś godnemu człowiekowi. Jeżeli w ciągu roku to naczynie nie sprowadzi na nikogo nieszczęścia, ogłoszę swój wzór... Nawiasem mówiąc kahor jest już gotowy.

Spojrzawszy na stojącą na parapecie butelkę zdziwiłem się, że pełna jest ciemnoczerwonego wina. Nalałem do kieliszka, by spróbować. Wino było gęste i słodkie, obdarzone naturalnym smakiem i zapachem. Był to typowy kahor najwyższej marki.

Wkrótce podziękowałem swej rozmówczyni, starannie zakorkowałem butelkę, zawinąłem prezent w gazetę i poszedłem do domu.

Minęło kilka dni. Moi sąsiedzi zaprosili mnie na urodziny Gieorgija Wasiliewicza. Przekonany, że lepszego obiektu dla tego daru nie znajdę, wręczyłem wieczną butelkę solenizantowi, wytłumaczywszy mu uprzednio sposób, w jaki należy się nią posługiwać. Małżonkowie ucieszyli się tak interesującym prezentem, ale Maryna Wikientiewna od razu oświadczyła, że nieczęsto będą używać tego naczynia, ponieważ, dzięki Bogu, są ludźmi niepijącymi. Jednak pod koniec naszej skromnej uroczystości Gieorgij Wasiljewicz złożył oświadczenie, które mnie z lekka zaniepokoiło.

— Ano, to winko mamy teraz bezpłatne — zwrócił się do żony. — W sklepie za taki kahor trzeba bulić 22 rubelki, a tu pij — do syta!

— Dziwna logika — roześmiała się Maryna Wikientiewna. — Żartowniś z ciebie.

Jednak następnego dnia okazało się, że Gieorgij Wasiliewicz nie żartował. Wróciwszy z pracy i spotkawszy mego sąsiada w kuchni musiałem stwierdzić w myślach, że jest na bańce. Miał zaczerwienione oczy i plątał mu się nieco język.

— Zaoszczędziłem dziś 22 ruble — zakomunikował mi radośnie. — A jeśli wypijać dziennie dwie butelki, można zaoszczędzić każdego dnia 44 ruble! Czyli 1320 rubli miesięcznie oszczędności! Wspaniały wynalazek!

Wkrótce tak się wytrenował, że wypijał po 2 butelki na dzień, a potem przeszedł na trzy. Kiedy żona tłumaczyła mu, że to szkodliwe, przekonywał ją, że szkoda jest niewielka, za to zaoszczędził dziś 66 rubli. Takie pieniądze nie leżą na ulicy!

Pewnego dnia wychodząc do pracy zauważyłem, że mój sąsiad zostaje w domu.

— Zamierzam zaoszczędzić dziś 88 rubli — mrugnął do mnie. — Ale żeby ustanowić ten rekord, będę musiał jeden dzień posiedzieć w domu.

Ciąg dalszy na str. 7